Nr. 295. We Lwowie Poniedziałek dnia 24 Października 1898 r. Rok XXXI.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano

Przedpłata wynosi we Lwowie:

Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięczni 2 zł.

Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego," plac Marjacki liczba 6 i 7. — Telefon Nr. 171.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Numer „Dziennika Polskiego" kosztuje 6 ct

Ogłoszenia przyjmują we Lwowie:

Biuro Administracji „Dziennika Polskiego," plac Marjacki l. 6 i 7 i Biuro dzienników Ludwika Plohna, ulica Karola Ludwika l. 9.

We Wiedniu: pp. Haasenstein & Vogler, (Otto Maas), M. Dukes, H. Schalek, A. Oppelik's Nach., Rudol. Mosse i J. Danneberg; w Paryżu: C. Adam 88, rue de Varenne.

Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą **10** centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).

Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz **50** ct.

Prywatne korespondencje **12** i nekrologia **20** centów od wiersza.

Drobne ogłoszenia $1^1/_2$ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po **1** ct. od wyrazu.

Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Zamknięcie granicy.

Lwów 23 października.

W przemysłowych i robotniczych kołach państwa niemieckiego rozpoczyna się z nastaniem zimy gwałtowna walka przeciw zamknięciu granicy od strony Rosji i Austrji dla trzody chlewnej. Koła agrarne oczywiście używają wszelkich sposobów i wykrętów, aby podać w wątpliwość słuszność tej opozycji ekonomicznej i dlatego odzywają się głosy, że drożyzna mięsa jest fantazją manchesteryzmu, lub że wina tej drożyzny spada na kupców-pośredników.

Wszystkie te zażegnywania burzy społecznej na nic się jednak nie zdadzą wobec cyfr statystycznych, przedstawiających w całej nagości klęskę ekonomiczną, wynikającą z zamknięcia granicy.

Mianowicie w górnoszląskich okręgach przemysłowych odzywa się coraz silniej protest przeciw głodzeniu ludu na korzyść wielkich właścicieli ziemskich, których wpływy w gabinetach ministerjalnych rosną z dnia na dzień w potęgę. I tak bytomski lekarz dr. Bloch ogłosił świeżo zajmującą broszurę p. t. „Wpływ zamknięcia granicy dla dowozu świń na kwestję wyżywienia robotników przemysłowych na Górnym Szląsku". Autorowi miejskie władze Bytomia poleciły rozpatrzenie tej kwestji, a rezultaty tych badań, o ile dotyczą konsumcji mięsa i tłuszczu, zebrał on w osobnej broszurze, która dzisiaj jest *question du jour* w całej prasie niemieckiej.

Na wstępie wykazuje dr. Bloch, że konsumcja mięsa wieprzowego w sferach robotniczych jest bardzo znaczną, że przedstawia się w stosunku do mięsa wołowego i kiełbasy, jak 55 : 33 : 12 i że wydatki na wszystkie rodzaje mięsa, nie wyłączając słoniny i tłuszczów, wynoszą 32·4 procent ogólnych wydatków, a zatem przeszło jedna trzecia część ogólnego zarobku robotnika. Górnoszląskie okręgi przemysłowe nie posiadają ani takiego rolnictwa, ani takiej hodowli bydła, które byłyby w stanie pokryć własne zapotrzebowanie świń, przedstawiające roczną cyfrę 120.000 sztuk. Zapotrzebowanie to pokrywał zatem w czterech piątych dowóz z Królestwa Polskiego, a w jednej piątej dowóz z Austrji. Ale krajową wieprzowinę lud miejscowy kupował niechętnie z powodu jej małej zawartości tłuszczu, która w stosunku do świń rosyjskich ma się jak 15 : 5. I węgierskich świń lud górnoszląski nie cenił wysoko, bo posiadają one wprawdzie w obfitszej mierze słoninę i tłuszcz, lecz mięsa w nich mało.

Ażeby zapobiedz zawleczeniu zarazy i stworzyć gwarancję zdrowego mięsa, rząd od lat 10 zmusił gminy do budowania rzeźni, w których bito importowane z Królestwa i Węgier świnie. Powstały rzeźnie w Bytomiu, Katowicach, Gliwicach, Tarnowicach, Mysłowicach i Zabrzu kosztem $2^1/_2$ miljonów marek, ale wszystkie te środki ostrożności wydają się obecnie rządowi nie dość pewne, bo chodzi naturalnie o interes wielkich panów niemieckich, a że tam lud polski na Górnym Szląsku głodem przymiera, to nikogo z kierowników państwa z powodu takich drobiazgów głowa nie zaboli.

W dalszym ciągu zajmującej broszury wykazuje dr. Bloch, o ile zamknięcie granicy wpłynęło na podwyższenie cen mięsa i o ile wskutek tego obniżyła się konsumcja mięsa. Warstwy robotnicze próbowały wieprzowinę zastąpić koziną i cielęciną, ale pomijając fakt, że te gatunki mięsa są mniej pożywne od wieprzowiny, to i cena ich w miarę zwiększającego się popytu, rosła z dnia na dzień, stając się wkrótce niedostępną dla uboższej ludności.

Rząd starał się zapobiedz klęsce przez obniżenie taryf kolejowych dla wewnętrznego handlu nierogacizną, a niektóre gminy (Gliwice, Bytom) zaprowadziły wielkie targi na bydło, aby ułatwić bezpośredni stosunek hodowców z rzeźnikami i wykluczyć w ten sposób pośrednictwo handlowe, podnoszące ceny. Ale żaden z tych półśrodków nie wydał pożądanego rezultatu. Ceny mięsa zamiast spadać, rosną i rosną bez końca.

W trzeciej części broszury zastanawia się autor nad sposobem życia w domach robotniczych i wykazuje, jak fatalnie zamknięcie granicy wpływa na wyżywienie ludu.

Oto kilka punktów: 1. Gdzie dawniej gotowano trzy czwarte funta wieprzowiny, gotują dziś pół funta wołowiny, tańszej o 10 fenigów na funcie. 2. Wiele kobiet udaje się z Bytomia za granicę, odległą o 10 kilometrów, aby tam na dni kilka zakupić mięsa. Pomijając jednak stratę czasu, oszczędność ta jest mała z powodu kosztów rewizji, której mięso poddane być musi. Zresztą zakupna takie odbywać się tylko mogą w zimie, bo w lecie mięso się psuje. 3. Drożyzna mięsa źle oddziaływa na wychowanie dzieci w warstwach uboższej ludności. Rodzice nie mogąc wystarczyć zarobkiem, coraz gorzej je żywią i coraz niedbalej ubierają. 4. Zastąpienie wieprzowiny innymi rodzajami mięsa pozbawia ludność słoniny i smalcu. W miejsce tego musi ona kupować masło, co znów wpływa na pogorszenie budżetu.

Ostatecznie dr. Bloch dochodzi do wniosków następujących: 1. Weterynaryjno-policyjne środki zapobiegawcze przeciw zawleczeniu zarazy są zupełnie niewystarczające. 2. Zaraza wśród trzody chlewnej nie pojawiła się już od półtora roku po tamtej stronie granicy. 3. Żaden chlew i żadna obora na Górnym Szląsku nie jest obecnie dotknięta zarazą. 4. Zamknięcie granicy ze względów weterynaryjno-policyjnych jest zbytecznem i niewłaściwem. 5. Wykluczenie handlu pośredniczącego nie spowodowało obniżki ceny. 6. Podwyższenie cen mięsa i słoniny przyprawia robotnika o stratę 10% zarobku. 7. Pożywienie klas robotniczych stało się gorszem, a cierpią na tem najdotkliwiej kobiety i dzieci. 8. Gdyby taki stan miał potrwać dalej, nie ulega wątpliwości, że zmniejszy się przeciętna siła wytwórcza i wojskowa dorastających pokoleń. 9. Mimo popytu na pracę i wysokich zarobków, rodziny robotnicze upadają ekonomicznie. 10. Rolnictwo krajowe jest w stanie tylko 9%, a zatem 11 część ogólnej konsumcji dostarczyć górnoszląskim okręgom, mimo zniżenia taryf kolejowych. 11. Władze powinny bezwarunkowo znieść zamknięcie granicy dla dowozu świń i usunąć na drugi plan względy agrarno-polityczne wobec rosnącej nędzy ludu górnoszląskiego.

Taka mniej więcej jest treść rozumnej broszury, która charakteryzuje wprawdzie tylko stosunki jednej prowincji, ale pozwala na mocy dostarczonych danych budować pewne wnioski ogólne. Wobec tego życzyć wypada, aby sprawdziła się wiadomość berlińskiej *Fleischer Zeitung*, że rząd rozesłał do prezesów rejencyjnych ankietę o przyczynach podrożenia mięsa i środkach zaradzenia złemu. Chodzi tylko o to, aby prezesowie nie ulegli podszeptom wielkich panów niemieckich i aby reforma nastąpiła już w jaknajkrótszym czasie. *Bis dat, qui cito dat.*

Listy z kraju.

Stanisławów 21 października. *(Ukonstytuowanie rady powiatowej. — Lekarze okręgowi).* Wczoraj odbyło się powtórne ukonstytuowanie się rady powiatowej i jak można było z góry przewidzieć, nie przyniosły nowe wybory żadnej zmiany w dotychczasowym składzie wydziału. Marszałkiem wybrany p. Mieczysław Brykczyński, zastępcą ks. Jan Eiselt. Wybór nowego marszałka, który nastąpił jednogłośnie, nawet głosami radykalnych Rusinów uważać należy za nader szczęśliwy, albowiem p. Mieczysław Brykczyński przynosi ze sobą obok dokładnej znajomości stosunków i potrzeb powiatu, sporą dozę energji co najważniejsze może, szczere chęci do pracy.

Warto przy tej sposobności przypomnieć kilka spraw, domagających się na gwałt załatwienia. Zacznę od lekarzy okręgowych. Przed kilku jeszcze laty uchwaliła rada w myśl odnośnej ustawy krajowej, kreowanie w Stanisławowie dwóch posad lekarzy okręgowych, uchwała ta postała jednakże niestety dotychczas na papierze. A tymczasem w powiecie grasują nagminnie tyfus i krwawa dysenterja, nie wygasają prawie ospa i szkarlatyna, zwłaszcza w porze jesiennej i na wiosnę. Stan ten nadzwyczaj jest groźny szczególnie dla mieszkańców miasta Stanisławowa, którzy narażeni są ciągle na zawleczenie chorób okolicznych wsi wraz z artykułami żywności i niezmiernie przykry w swych skutkach dla mieszkańców zakażonych miejscowości, którym częstokroć zabrania się przystępu na targi miejskie i naraża przez to szkody. Mniej zamożne rady powiatowe jak rady powiatowe w Gródku i Drohobyczu rozpisują konkursy na posady lekarzy okręgowych, tem bardziej powinna to uczynić zasobniejsza w środki pieniężne stanisławowska rada i przy sposobności układania budżetu na rok następny, co niebawem nastąpi, o tem pamiętać.

Chciałbym napisać jeszcze cośkolwiek o drogach powiatowych i stosunkach, panujących w niektórych gminach, ale obawiam się, że i tak zabrałem szan. redakcji zbyt wiele miejsca i dlatego odkładam to do najbliższej korespondencji. X.

Wadowice 18 października. *(Bankructwo żydowskie).* Drugi wypadek bankructwa zdarzył się w Wadowicach w roku bieżącym. Po Kornie zajął miejsce Oser Schanzer, fabrykant papuci, który zyskawszy kredyt w instytucjach czeskich i niemieckich, eskontował w nich fałszowane weksle na sumę około 30.000 zł. Skoro przypadł termin pierwszego wekslu z podrobionymi podpisami, uciekł, prawdopodobnie do Ameryki. Pomiędzy tutejszymi kupcami żydami wywołało to panikę, wielu bowiem z nich padnie ofiarą chytrego oszusta, który jak lis po dalekich instytucjach szukał kredytu i zbytu swych weksli, gdy powiatowej kasy oszczędności w Wadowicach nie udało mu się wywieść w pole i ani na centa zarwać.

Bobowa 17 października. *(Lustracja).* Przecież wydział krajowy nie zapomniał o nas! Z ramienia bowiem jego przybył tu przed paru dniami p. A. Śniegocki, b. prof. szkoły w Zabikowie, delegowany jako lustrator okręgowy kółek rolniczych. Zwiedziwszy okoliczne wioski, chrześcjańskie sklepiki i zajrzawszy naocznie u ludu i mieszczan tutejszej biedzie w oczy, dnia 16 bm. do dość licznie zgromadzonych, obojej płci wieśniaków i rzemieślników, miał w Bobowej, w gmachu szkolnym, świetny wykład o koniecznych ulepszeniach w gospodarstwie ludowem, o praktycznem a uczciwem wychowaniu dzieci, o otwieraniu dla nich wszelkiego zawodu szkół i warsztatów, o chowie bydła, o czytelniach i uprawie niemi, o zgodzie, jedności i ścisłej solidarności, o pomaganiu sobie i darowaniu uraz wzajemnych. Słuchacze z całą przychylnością otwierali mu i serca, a kilku z nich, nie bez wesołości, szeptali: „czy jeszcze nie wynalazł kto maszyny do zmniejszenia podatków i do wyrabiania sprawiedliwości?"

Takich lustracyj, ale i takich tylko lustratorów jak p. Ś. więcej w Galicji, a wszystkie w niej żyjące warstwy chrześcjańskie niedługo zrozumieją swe obowiązki, prawa, stanowisko i posłannictwo. Będzie nam lepiej, ale pracujmy nad sobą z wiarą i miłością. Bobowa obecnie znajduje się w stanie przedwyborczym do rady gminnej. Chwila niezmiernie ważna dla dobrobytu i wzrostu miasteczka, dla nas i dzieci naszych. Głosujmy na swoich, a wyjdzie to tylko na pożytek miasta.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski. Poniedziałek 24 października.

Teatr hr. Skarbka: „Szalawiła", komedja Kaz. Glińskiego. Początek o godzinie 7 wieczorem.

Panorama racławicka na placu wystawy otwarta codziennie od godz. 8. rano do zmroku.

Treść 42-go numeru „Echa literackiego" jest następująca: Fr. Zwilkoński — „Lampa zgasła" (obraz dramatyczny); J. T. — „Kilka słów o modelach; Henryk Zbierzchowski — „Poezje"; G. Verga — „Tygrysica" (powieść — c. d.); C. H. — „Jak powstaje państwo"; „Wiadomości artystyczne i literackie".

Kalendarz. Poniedziałek (24): Rafała archan. Wschód słońca o godzinie 6 minut 38, zachód o godzinie 4 minut 47.

Hiszpański gość. W salonach literackich Warszawy — jak donosi *Kurjer Warszawski* — pojawił się od dni kilku gość niezmiernie zajmujący: Zofja Lutosławska, znana w literaturze hiszpańskiej pod nazwiskiem Casanova, jedna z najznakomitszych poetek współczesnych, laureatka akademji madryckiej, przyjaciółka królowej, no! i — *last not least* — małżonka głośnego platonisty i autora t. zw. „stylometrji" Lutosławskiego.

Lutosławski poznał w Hiszpanji Zofję Casanovę i poślubiwszy ją, kształcił żonę w języku ojczystym. Dziś słynna poetka mówi już biegle po polsku, a gdy ludzie dziwią się wprawie, nabytej w tak krótkim czasie, tłumaczy z pieszczotliwym uśmiechem dziecka: „Mąż jeść nie dawał, dopóki lekcji się nie nauczyłam".

A wraz z dźwiękami mowy naszej, wnikającemi w umysł poetki, myśl Zofji Casanovy płynęła na północ i coraz silniej miłowała nasz kraj, literaturę i historję naszą. Owocem tych studjów i tej miłości jest romans p. t. „Pan Wolski", osnuty na tle stosunków polskich, a przyjęty z zapałem przez krytykę hiszpańską. Zachęcona powodzeniem utworu, pani Zofja wygłosiła w Madrycie kilka odczytów o Polakach, ich życiu i literaturze, a odczyty te, wyhaftowane kwiatami cudownego stylu, opromienione błyskami głębokiej historjozofji, ogrzane ciepłem idealnego entuzjazmu, były przepiękną pieśnią o ludziach północy, której z zachwytem słuchali ludzie południa.

Państwo Lutosławscy prowadzą życie koczownicze; mieszkali w Madrycie, na Balearach, w Londynie, w Moskwie, w Kazaniu (gdzie pan L. był docentem filozofji przy uniwersytecie), a obecnie osiedli w Drozdowie, majątku rodzinnym Lutosławskich. Pani Zofja Casanova skarży się czasem na to cygaństwo i pragnie gorąco zamieszkać stale w Warszawie, którą nad inne miasta polubiła. Zajmują ją ludzie i życie nasze, podoba jej się atmosfera literacka, słucha ciekawie opowiadań o stosunkach naszych i rzuca lśniące perłami dowcipu opowiadania o własnej ojczyźnie.

— Wystawcie sobie — mówi — mąż mój był po stronie Amerykanów, bo podobała mu się humanitarna blaga yankesów.

— Ale za to prasa polska — ktoś wtrącił — walczyła razem z wami przeciw Ameryce, oczywiście, na papierze.

— Wiem, wiem i kocham was za to.

— Więcej od męża?

Uśmiechnęła się i zręcznie uniknęła zasadzki.

— Ach! ci mężowie — rzekła po chwili. — Oni są bardzo niedobrzy. Ja chciałabym zamieszkać w Warszawie, a mąż mój nie chce.

Oburzyły się panie nasze.

— Jakto? nie chce? Musi!

— Ot! ot! — szczebiotała — to mi „polakerja". Hiszpani nie znają wyrazu „pantofel!" (Chór mężczyzn: Szczęśliwy kraj! — Chór kobiet: Barbarzyństwo!) Tam każdy mąż jest panem domu, a my siedzimy pod butem.

— Zawsze? — ktoś spytał.

Uśmiechnęła się znowu filuternie.

— Kobiety wszędzie broją, ale u nas w domu mąż zazwyczaj jest panem, małżeństwa są przynajmniej pozornie wzorowe, nikt o rozwodach nie słyszał. Cóż robić? Trzeba słuchać mężów. Taki już zwyczaj u nas.

Paniom naszym ta „bezpantoflowość" Hiszpanji wydała się czemś tak monstrualnem, że nie omieszkały zasypać pani Zofji Casanovy gradem przemądrych nauk i wskazówek, aby ten „pantofel" koniecznie wprowadzić do języka hiszpańskiego.

— A panowie? — zwróciła się do nas poetka.

Wszyscy się pokłonili, jakoby las brzozowy, po którym wicher przeleciał.

---

(85)

Henryk Le Roux.

Władca Chwili.

Z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

La Vendôme tymczasem znalazł spokojną chwilę, aby merowi i jego żonie oświadczyć, iż kocha Coronę i jest wzajemnie kochany, że przysięgli sobie wierność i że jego zamiarem było natychmiast po powrocie prosić o rękę ukochanej dziewczyny. W tym czasie, mówił, spadło na nich wszystkich nieszczęście, a jemu jego obowiązek oficera nie pozwala opuścić Fontaine-Froide, aby osobiście uczynić wszystko dla ocalenia Corony. Chce on jednakowoż stać wiernie jak syn przy boku jej rodziców i pomagać im znosić wszystkie trudy.

Przejęty sam nadzieją Mazuriera zabrał się z wielką gorliwością do zorganizowania obrony. Ponieważ nie można było myśleć o tem, aby jeźdźców umieścić we wnętrzu osady, przeto postanowił kapitan ulokować swój oddział spahów w szopie, używanej do przechowywania beczek od wina, znajdującej się w odległości stu metrów przed bramą na stoku pagórka. Przeliczywszy w myśli dokładnie siły, jakiemi rozporządzał do pracy i do obrony, skonstatował, że było pięćdziesięciu pięciu silnych mężczyzn: dwudziestu dwóch osadników, dwudziestu gwardzistów, czterech artylerzystów i dziewięciu więźniów wojskowych. Amunicji i żywności nie brakowało i La Vendôme mógł się spodziewać, że będzie mógł przez kilka tygodni utrzymać osadę zamienioną w twierdzę.

Sposób budowy sprzyjał bardzo fortyfikacji Fontaine-Froide. Trzeba było w stajniach i szopach wzdłuż ścian zewnętrznych poustawiać wewnątrz rusztowania lub stosownie podwyższyć podłogę, a wtedy gwardziści wygodnie używać będą mogli porobionych w ścianach wentylatorów jako strzelnic. Wielkie, piaskiem napełnione beczki, zakopane do połowy w ziemi, służyły do zabarykadowania bramy wjazdowej, jak również drzwi w domu mieszkalnym, które wychodziły na północ do winnic; w tym kierunku jednak znajdował się przewyższający dom i winem obsadzony pagórek. La Vendôme zdecydował się wreszcie na to, aby w obszernem podwórzu wznieść rodzaj tarasu, na którego szczycie chciał ustawić dwie swoje armaty górskie, aby z nich strzelać po nad dachami.

Wszystkie te roboty musiały być ukończone jak najwcześniej, gdyż kapitan przewidywał, że Ait-Fraussy i Beni-Ficy, przyszedłszy cokolwiek do siebie po panice, przystąpią znowu do ataku. Sygnał trąbki, który kazał dać o świcie, zgromadził na podwórzu wszystkich mieszkańców osady, jak również żołnierzy i uciekinierów. W krótkich i jasnych słowach wyłożył kapitan swój plan obrony i każdemu wyznaczył zajęcie. Gwardziści mieli obsadzić strzelnice i wejścia, osadnicy i więźniowie mieli wykonać potrzebne roboty ziemne.

— Jeżeli każdy z nas — kończył kapitan — wykona swój obowiązek, powstanie znajdzie tutaj tamę, która wywrze wpływ na jego szerzenie się.

Niezadowolony pomruk zmusił go do odwrócenia się. Wśród grupy osadników stał mały, zezowaty człowiek w korkowym hełmie na głowie, który rozprawiał w wzburzeniu, ale przytłumionym głosem. Otaczający go wypychali go naprzód, mówiąc:

— Wystąpże, Bazire i powiedz, co myślisz.

Ośmielony tem podszedł inżynier do kapitana. Trzymał w ręku notes i zaczął mówić trochę ironicznie:

— Kapitanie, mam zrobić uwagę, techniczną uwagę co do konstrukcji pańskiej baterji. Każdy ma swój zawód, wszak prawda? Pan jesteś oficerem i nie masz potrzeby rozumienia sztuki budowlanej. Zamiast tracić czas na wzniesienie projektowanego przez pana monumentu, lepiej przedsięwziąć pewne zmiany w istniejącej konstrukcji, mniej więcej w ten sposób...

Otworzył notes i zaczął rysować, co sobie wymyślił.

Zdumienie odjęło najpierw kapitanowi mowę. Przyglądał się inżynierowi od stóp do głów, a ponieważ w pierwszej linji znajdował go komicznym, postanowił przeto gniew swój zachować na inną chwilę.

— Pan — rozkazał krótko i węzłowato — weźmiesz łopatę i pójdziesz do roboty. Tam zobaczymy, do czego pan jesteś zdolny. Więcej ani słowa. W lewo zwrot, marsz!

Śmiech otoczenia pouczył inżyniera, że chwiejny tłum odebrał mu już swoje względy. Niechętnie schował notes do kieszeni, wzruszył ramionami w celu obrony swej godności i odwrócił się. Poza szkłami jego okularów błyszczały jednak wściekłość i nienawiść.

Nie troszcząc się dalej o niego, wyszedł kapitan z merem z dworu, aby być obecnym przy przemianie szopy na stajnie i ponowić spahom swe przyrzeczenie co do osobnego wynagrodzenia za ich służbę. Miano tutaj także wznieść kilka szańców, aby jeźdźców ochronić od napadu ze strony pomarańczarni. Zaprowadzono nieustanną służbę patrolową, aby czuwała nad wodociągiem, doprowadzającym wodę do dworu.

Wśród tych zarządzeń dzień minął bardzo prędko i dopiero późnym wieczorem powrócili kapitan razem z merem do domu. Zaraz po wejściu na podwórze zauważyli, że panował tam szczególny nieporządek. Na kupie ziemi, którą osadnicy narzucili łopatami, leżeli więźniowie wyciągnięci w całej długości, paląc fajki. Gwardziści opuścili swoje posterunki, również kobiety i dzieci, które miały zostawać w ambulansie i w przeznaczonej dla nich szopie, cisnęły się dokoła nich. Na domu mera nad oknami jadalni wywieszony był długi pas białego sukna, na którym wielkiemi literami napisane było: „Biuro rządu prowizorycznego".

— To znowu sztuczka tego warjata Fabulé — zawołał Mazurier wściekły, cisnąc się przez tłum.

Jakiś człowiek, który trzymał wartę na dole znajdującego się przed domem tarasu, miał wprawdzie zamiar zagrodzić mu drogę bagnetem, olbrzym jednakże wyrwał mu broń z ręki i cisnął ją na środek podwórza.

Jadalnia zmieniona została na lokal warty. „Patrjota" Fabulé, siedząc na krześle jak na koniu, wygłaszał jedno przemówienie za drugiem i widział się już na czele tej milicji, która go z pewnością wybierze na swego naczelnika. Swój „historyczny" kapelusz filcowy z roku 1848 przyozdobił śmiało piórem koguciem, co mu nadawało bardzo zuchwały wygląd. Wlał już sporą porcję absyntu do gardła i wskutek tego, ujrzawszy gwałtowne wejście Mazuriera, był na tyle odważnym, że zrobił ponurą minę i zawołał do niego:

— Czego pan chcesz? Zjednoczeni tutaj obywatele wybrali sobie rząd cywilny. Swoje prawa złożyli do rąk duumwiratu i polecili mu bronić ich przed rozszczeniami militaryzmu. Znajdujemy się tutaj na podstawie objawionej przez wolne głosowanie woli ludu i nie cofniemy się nawet przed groźbą pałasza...

Dalej nie doszedł. Mazurier chwycił go z wściekłością za kołnierz, wyrzucił jego „historyczny" kapelusz przez okno na podwórze i miał właśnie zamiar posłać za nim „patrjotę", lecz kapitan, który właśnie wszedł do pokoju z kilku gwardzistami, przeszkodził temu przedsięwzięciu.

— Zaprowadzić tych dwóch buntowników na podwórze i związać ich! — rozkazał La Vendôme.

Wyborcy jakoś nie protestowali i duumwirat Fabulé Bazire znalazł się wnet na podwórzu, gdzie go skrępowano sznurami. Kapitan, stanąwszy w środku, rzekł donośnym głosem:

— Mam polecenie rządu prowadzenia tu taj obrony; jestem odpowiedzialny tak za życie was wszystkich, jak za honor sztandaru Francji. Żądam od każdego z osobna i od was wszystkich razem bezwarunkowego posłuszeństwa. Ci dwaj podszczuwacze zostaną stąd wydaleni i oddani pod straż spahów. Gdyby się bunt miał jeszcze raz powtórzyć, każę ich w krótkiej drodze rozstrzelać; spotka to każdego, kto mi odmówi posłuszeństwa lub będzie się starał zakłócić porządek. Stosujcie się do tego!

Energja kapitana podbiła umysły wszystkich. Żołnierze słuchali chętnie dowódcy, który tak umiał bronić swej powagi, a nawet części osadników, podburzonej przez inżyniera, zaimponowało stanowcze wystąpienie kapitana do tego stopnia, że nie odważyła się pisnąć słówka; reszta mężczyzn — a była ich większość — głośnymi okrzykami pochwaliła postępowanie kapitana, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że tak on jak mer mogą na nich liczyć bezwarunkowo.

Bazire pozwolił się odprowadzić i milczał, Fabulé jednak był zanadto boleśnie dotknięty tym żałosnym końcem duumwiratu. Nie chciał iść, a gdy gwardziści podnieśli go z ziemi, aby go odnieść, przypomniał sobie swego kolegę w pierwszym „rządzie prowizorycznym", szewca Ducroca, którego zabili Ait-Fraussy w chwili, gdy bronił wejścia do leśniczówki. „Patrjota" nie odważył się apelować więcej do swych wyborców, ale zebrał wszystkie swoje siły i krzyknął:

— Niech żyje Ducroc!

Nikt mu nie zawtórował. Przez drzwi szopy, urządzonej na szpital, dało się słyszeć gorzkie łkanie. Była to skarga wdowy po szewcu, która cudem uszła w tej rzezi śmierci i teraz dnie i noce spędzała na opłakiwaniu swego z taką sławą poległego męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

— Godzimy się, ale tylko na pani pantofel.

— Oj! polakerja, polakerja! Gdybym ja była młodszą...

I znowu chórem zabrzmiało:

— Bluźnierstwo!

Poświęcenie kamienia węgielnego pod gmach seminarjum nauczycielskiego żeńskiego odbyło się wczoraj o godzinie 9 rano. Po nabożeństwie w kościele PP. Sakramentek, udano się na miejsce budowy przy ulicy tej nazwy, gdzie podniosłą przemowę o zadaniach i obowiązkach kobiety według dzisiejszych pojęć, wygłosił ksiądz kanonik Lenkiewicz. Do puszki wmurowanej w fundament, włożono akt fundacyjny, podpisany przez wiceprezydenta rady szkolnej krajowej p. Bobrzyńskiego i wszystkich obecnych we Lwowie członków rady szkolnej. Uroczystość zakończył chór seminarzystek odśpiewaniem „*Gaude mater Poloniae*“ i pierwszej zwrotki hymnu ludowego w języku polskim i ruskim.

Ucieczka więźnia. Antoni Pawluk, więzień tut. zakładu karnego dla mężczyzn, zasądzony wyrokiem sądu obwodowego w Tarnopolu z dnia 23 listopada 1897; za kradzież na 1¼ lat ciężkiego więzienia, zbiegł dnia 21 bm. około godziny 3 po południu z roboty u p. Wolińskiego, ogrodnika przy ul. Sadownickiej l. 31. Pawluk jest rodem z Pozanki hetmańskiej, religji rz. kat., żonaty, bezdzietny, liczy 27 lat, jest wzrostu średniego, silnej budowy ciała, owalnej twarzy, ma czarne włosy, piwne oczy, ciemne brwi, proporcjonalny nos i usta, zdrowe zęby, goloną brodę, mówi po polsku i wziął z sobą więzienne zimowe ubranie z haliny.

Znaczący wypadek. Rzymsko-katolicki kościół w Kronsztadzie w Rosji, zbudowany z rozkazu cara Pawła I., obchodził tymi dniami setną rocznicę swego istnienia. Owóż otiec Joan Kronsztadzki, znany cudotwórca rosyjski i uważany w Rosji za świętego, wysłał do proboszcza wspomnionego kościoła katolickiego list, w którym powiada, że „jako duchowny i wyznawca chrześcijańskiej miłości, pokoju i zjednoczenia, zasyła kościołowi katolickiemu i jego przedstawicielom serdeczne życzenia pomyślnej i długoletniej pracy na chwałę Bożą“. Fakt ten zwrócił na siebie uwagę w Rosji, raz dlatego, że otiec Joan Kronsztadzki przyznał się w tym liście, iż jest wyznawcą zjednoczenia kościołów wschodniego i zachodniego, a następnie, że nie wahał się okazać publicznie, iż dla kościoła katolickiego ożywiony jest dodatniemi uczuciami. Pisma, któreby chciały wszystko i wszystkich różnić, są mocno z tego listu tego zacnego kapłana rosyjskiego niezadowolone.

Powódź. Z Gracu donoszą, iż Lublana wystąpiła z brzegów i zalała przybrzeżne wioski, między którymi komunikacja teraz odbywa się na łodziach. Isonzo także wylał.

Ślady Andrégo. Ze Sztokholmu donoszą: Evelin Balduin, członek wyprawy podbiegunowej Wellmana doniósł kapitanowi Andréemu, bratu zaginionego aeronauty, że znalazł w pobliżu przylądka Tegethoffa (Ziemia Franciszka Józefa) ślady ludzkie. Zdaniem Balduina, są to ślady Andrégo i towarzyszy, Fränkla i Strindberga. Nie mogą to być ślady austrjackiej wyprawy podbiegunowej, która tu bawiła przed 25 laty, a od tego czasu dwie tylko wyprawy zbliżyły się do przylądka Tegethoffa: wyprawa Hekli, która jednak ludzi na ląd nie wysadziła i teraźniejsza wyprawa Wellmana na okręcie „Fridjof“. Balduin donosi jednocześnie, że na przylądku Flora znajduje się skład żywności, wystarczający na lat kilka. Również i na przylądku Tegethoffa urządziła wyprawa Wellmana skład żywności ze znacznymi zapasami.

Kilka słów o dżumie.

Dżuma (*Pest*, *Bubonenpest*, czarna śmierć), znana też u nas od bardzo dawnych czasów pod nazwą „mora“ lub „morowe powietrze“, jest ostrą chorobą zakaźną z następującym przebiegiem. Od chwili zakażenia, aż do pierwszych objawów chorobowych, upływa z reguły 4—6 dni (znane są jednak wypadki, gdzie ten okres trwał 15 dni) i w tym czasie chory skarży się tylko na ogólne osłabienie. Nagle powstaje silna gorączka, chory majaczy i prawie równocześnie obrzmiewa któryś z gruczołów, najczęściej gruczoł pachwinowy, rzadziej pod pachą, na szyi lub karku.

Gruczoł zajęty często przechodzi w ropienie i wówczas chory dość często powraca do zdrowia, gdy jednak nie wytworzy się zropienie, wówczas prawie bez wyjątku choroba kończy się śmiercią. Obok silnej gorączki, następują częste wymioty, krwawa biegunka i kurcze. Czasami gruczoły nie są powiększone, są natomiast bolesne przy dotknięciu; w tych wypadkach śmierć następuje czasem już po upływie kilku godzin. Niekiedy występuje również dżumowe zapalenie płuc i wówczas również gruczoły nie bywają powiększone.

Jako przyczynę dżumy odkrył dr. Yersin zarazki widoczne pod mikroskopem w kształcie krótkich, grubych laseczek o zaokrąglonych końcach. W r. 1894 mianowicie wybuchła dżuma w chińskiej prowincji Yunnam w pobliżu francuskich posiadłości w Indjach, a w końcu w Kantonie i w ciągu 6 tygodni zabrała 60000 ofiar. Wówczas rząd francuski wysłał dra Yersina do Indyj, celem zbadania zarazy i wyszukania skutecznego środka. Z zadania tego wywiązał się dr. Yersin nadzwyczaj szczęśliwie, wykrył bowiem zarazka dżumy i wynalazł surowicę leczniczą. Nigdy jeszcze nie odniosła bakterjologja tak świetnego tryumfu, jak w tym razie.

Co do łatwości, z jaką zarazek zabić się daje, są zdania podzielone; podług jednych daje się on w suchym stanie utrzymać zdolnym do zakażenia zaledwie 7 dni, zazwyczaj zaś ginie już po 3—5 dniach; według innych jednak badaczy, może on zachować np. w ciemności swą zdolność do rozwoju przez 9—30 dni, zależnie od przedmiotu, na którym się znajdował; a według innych w końcu, może chory na dżumę zarazić innych tą chorobą nawet jeszcze po 10 tygodniach. Wobec tego nie można liczyć na to, aby w naszym klimacie zarazki dżumy szybko ginęły przez wysychanie. Wystawione na działanie promieni słonecznych giną one w naszym klimacie dopiero po 4 godzinach, czyli znacznie wolniej niż w strefie gorącej. Natomiast para wodna o cieplocie 100° niszczy zarazki dżumy już w jednej minucie, 5% woda karbolowa lub sublimat w przeciągu 5—10 minut, mleko wapienne po jednej godzinie.

Ważnem jest doświadczenie, że zarazek dżumy zachowuje swą żywotność w zwykłej wodzie jeszcze po 20 dniach.

Zarazek dżumy wydziela ze siebie chory w ślinie, w wykrztuszonym śluzie, w moczu, w odchodach, wielka ilość zarazków znajduje się w krwi chorego, a szczególnie dużo ich w ropie gruczołów dotkniętych chorobą. Najczęstszem źródłem zakażenia jest ropa gruczołów i plwocina chorych na dżumę i stąd też choroba ta szerzy się gwałtownie u Chińczyków i Indusów, znanych ze swego wielkiego niechlujstwa wskutek zaniedbania nieraz najprostszej czystości przy chorych i zmarłych. Że pod tym względem i my Europejczycy mielibyśmy sobie niejedno do zarzucenia, dowodzą tego niedawne doświadczenia uczynione z cholerą, a szczególnem przytem było to, że najwięcej niechlujstwa odkryto przy tej sposobności właśnie prawie w centrum owej europejskiej cywilizacji: w niemieckiem mieście Hamburgu!

Stąd też epidemja dżumy szerzy się zwykle rodzinami: mianowicie zarazek z chorego dostaje się do otaczających go osób zdrowych bądź to przez nieznaczne nawet rany w skórze powstałe np. przez zadraśnięcie zanieczyszczonym paznogciem, bądź też przez wdychanie rozpylonej plwociny unoszącej się wraz z pyłem w powietrzu np. w pokoju, gdzie leżał chory na dżumę, a w końcu dostają się zarazki chorobowe zapewne też drogą przewodu pokarmowego, np. bywają zjedzone wraz z pokarmem, zanieczyszczonym zarazkami. Przez przewód pokarmowy nastąpić może zakażenie np. z owocami, na których się znajduje zarazek dżumy lub też z wodą i stąd owe groźne niebezpieczeństwo, jakie grozi ludności przy zakażeniu studzien lub rzek.

Prócz ludzi, ulegać mogą zachorowaniu na dżumę szczury, myszy, króliki, świnki morskie, małpy, koty, drób i ptactwo prócz gołębi, które zarówno jak psy i bydło rogate zdają się być na dżumę odporne i na tę chorobę nie zapadają. Ciekawych doświadczeń dokonano na muchach i pluskwach i przekonano się np., że muchy zarażają się dżumą i giną po pewnym czasie, przedtem jednak mogą w danych warunkach stać się roznośnikiem zarazy, w pluskwach natomiast zdaje się zarazek dżumy ginąć. Nie ulega wątpliwości, że i komary muszą odgrywać ważną rolę przy roznoszeniu dżumy. Zwłaszcza rola szczurów jest znaną w Chinach przy roznoszeniu zarazy i stąd powstała też chińska nazwa dżumy: „Shu-Yi“ czyli „szczurza zaraza“, gdyż przed każdorazowym wybuchem epidemji dżumy, występuje wprzód wielka śmiertelność między szczurami. Ludność miejscowa w tym czasie opuszcza gromadnie miasta i chroni się w góry, przyczem od dawna zrobiono spostrzeżenie, że ludzie żyjący na czółnach pływających po rzekach, pomimo nędzy, w jakiej żyją, nie zapadają na dżumę, dopóki nie wychodzą na ląd stały.

Dr. Wiktor Legeżyński.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek „Szaławiła“, komedja w 5 aktach Kazimierza Glińskiego; jutro we wtorek „Bal w operze“, operetka; w środę „Szaławiła“, komedja; we czwartek „Bal w operze“, operetka.

Dżuma w Wiedniu.

Dla zrozumienia przebiegu rozszerzenia się choroby należy przytoczyć, że obie chore dozorczynie, wraz z asystentem dr. Müllerem, pomieszczono zaraz po wypadku z Barischem w zupełnem odosobnieniu w pawilonie dla chorób zakaźnych, należącym do szpitala Franciszka Józefa. Pawilon ten, zbudowany w formie czworoboku, składa się z czterech oddziałów wcale z sobą nie połączonych. Każdy z tych oddziałów przeznaczony jest tylko dla jednego chorego i ma wejście tylko z zewnątrz; w każdym oddziale są cztery ubikacje: pokój dla chorego, pokój dla dozorczyni, izba desinfekcyjna i jeden pokój uboczny. W jednym z takich oddziałów, w dwóch pierwszych ubikacjach pomieszczono chore dozorczynie, trzecią zajął dr. Müller, czwarty pokój pozostał wolny. Wszelkie zetknięcie się wymienionych trzech osób ze służbą szpitalną jest niemożliwe. Wolne miejsce dokoła pawilonu zamknięto wyciągniętym sznurem, nadto zabroniono zarówno lekarzom, jak w ogóle wszystkim osobom, zajętym w szpitalu, wchodzić do pawilonu, a nawet zatrzymywać się w jego pobliżu.

W pokojach dla chorych znajdują się wszystkie przedmioty, potrzebne do pielęgnowania pacjentów. W pokoju lekarza przeprowadzono połączenie do dzwonka, którym lekarz może przywołać służącego. Porozumiewają się oni z sobą tylko przez okno, służącemu nie wolno wchodzić do pawilonu. Tą samą drogą otrzymują też internowani żywność. Służący składa przyniesione potrawy na oknie, poczem zaraz oddala się. Po każdem odwiedzeniu swych pacjentek, dr. Müller desinfekcjonował się, poczem dopiero wracał do swego pokoju i tam pisał na kartkach papieru ewentualne zarządzenia. Recepty, sporządzone przez dr. Müllera, przed odesłaniem ich do apteki, były przepisywane przez innego lekarza, poczem papier pochodzący od dr. Müllera, ulegał spaleniu.

Pawilon dla zadżumionych stanowi zupełnie odosobnioną i dla siebie zamkniętą wyspę w szpitalu dla chorób zakaźnych, z którym niema żadnego kontaktu. W pawilonie tym znajdują się obecnie obie chore dozorczynie i dr. Müller, dalej lekarz, któremu poruczono ich pielęgnowanie, dr. Poech, i trzy siostry miłosierdzia, przydzielone z powszechnego szpitala. Dostarczanie żywności odbywa się przez kilkakrotne przenoszenie ich do rozmaitych naczyń, które natychmiast bywają desinfekcjonowane. Zużyta bielizna zostaje bezzwłocznie spalona.

Szarytki, które podjęły się pielęgnowania zadżumionych, porozumiewają się z zarządem szpitala w drodze telefonicznej. Nadto składają pisemne raporta w ten sposób, że doniesienia swe wypisują wielkiemi literami na kartkach papieru, które nalepiają na szybach okien. Doniesienia te, odczytywane z zewnątrz, bywają następnie odsyłane do departamentu sanitarnego w namiestnictwie.

Choroba występuje dotychczas jedynie w formie zapalenia płuc. Jestto forma najniebezpieczniejsza i tylko bardzo rzadko daje się uleczyć. Lekarze sądzą, że dozorczyni Pecha zaraziła się jedynie drogą oddechową, przejąwszy zarazki za pomocą oddechu. Oprócz dwóch sióstr miłosierdzia, które najpierw podjęły się pielęgnowania chorych, zgłosiła się wczoraj z własnej woli trzecia. Wprawdzie istnieje francuskie *serum* przeciw dżumie, nie stosują go jednak, ponieważ nie jest to jeszcze środek dostatecznie wypróbowany. Pacjenci otrzymują obfite wino i herbatę z koniakiem. Nadto stosowane są desinfekcjonujące inhalacje. Wobec wysokiej ciepłoty ciała, kładą im w okolicach serca worki z lodem.

Beznadziejna chora Albina Pecha liczy lat 29, jest niezamężna, od niedawna dopiero zajęta w szpitalu wiedeńskim, przedtem była w jednym ze szpitali londyńskich. Druga dozorczyni Joanna Hochegger, liczy lat 45, jest wdową.

* * *

Dozorczyni Albina Pecha, która może w chwili, gdy piszemy te słowa, oddała już Bogu ducha, była dopiero od dwóch tygodni zajęta w szpitalu jako dozorczyni. Przedtem była pokojówką, ale, jak mówiła, miała już tej służby dosyć i została dozorczynią. Jest to bardzo piękna dziewczyna, blondynka, wysokiego wzrostu. Do nowej służby przyzwyczaiła się bardzo prędko. Zwano ją powszechnie „Angielką“, dlatego, że miała się urodzić w Anglji. Będąc w szpitalu z nikim nie przestawała, ani z innemi dozorczyniami, ani z nikim z miasta.

Los ją prawdziwie prześladował. Gdy weszła do służby, przydzielono ją do służby na oddział prof. Hofmokla, a pierwszym, przy którym czuwała, był student medycyny Petrowicz, syn byłego serbskiego ministra skarbu, który, jak to donieśliśmy, przy sekcji trupa zaciął się w palec i zachorował. Już wówczas Pecha była izolowaną, gdyż Petrowicz dostał różę, a więc chorobę bardzo zakaźną.

Zakazano jej z kimkolwiek, nawet z dozorczyniami innemi, stykać się, wskutek czego podczas całej choroby studenta była ona niejako uwięzioną w swym pokoju. Jak wiadomo Petrowicz umarł na zakażenie krwi, a ten fakt, iż pierwszy pacjent, przy którym czuwała, tak ją zniechęciła do dalszej służby, iż postanowiła szpital porzucić i wypowiedziała służbę. Dnia 1 listopada miała już szpital opuścić. Tymczasem zachorował Barisch, a do pilnowania go przeznaczoną ją i drugą dozorczynię Joannę Hochegger. I tu obowiązki swe Pecha pełniła z poddaniem. Gdy czuwała przy Barischu była jeszcze ostrzej izolowaną, niż przy Petrowiczu, co wpłynęło ujemnie na jej zdrowie. Nie skarżyła się jednak na nic i pełniła swą służbę. Już podczas choroby Barischa uczuła się raz bardzo osłabioną, ale wkrótce przyszła do siebie i myślała, iż ostatecznie to pochodziło z nadmiernej pracy. Tymczasem były to pierwsze symptomy dżumy.

(Depesze telefoniczne i telegraficzne).

Wiedeń 22 października. O godz. 11 przedpołudniem zebrała się dziś w ratuszu na naradę ministerjalna komisja sanitarna.

Wiedeń 23 października. Wydany wczoraj o godzinie 5-ej po południu biuletyn fizykatu miejskiego opiewa: Dozorczyni Pecha przy niezmienionej temperaturze ciągle nieprzytomna.

U dr. Müllera temperatura 38°, przytomność wróciła.

U drugiej dozorczyni Hocheggerowej, która również czuwała przy Barischu, dotychczas zdrowej, temperatura doszła do 38·5, ale nie ma żadnych innych symptomów niebezpiecznych.

Wiedeń 23 października. Biuletyn fizykatu miejskiego wydany wczoraj o godzinie ½7 opiewa: Stan zdrowia dra Müllera nieco się pogorszył. Temperatura 38·8, puls 12·8, oddech 59; ból w piersi, lekkie wymioty.

U dozorczyni Pecha temperatura 39·8, wymioty ustały, przytomność wróciła.

U Hocheggerowej temperatura 38·7, od czasu do czasu kaszel. Innych symptomów nie ma.

Wiedeń 23 października. Robotnicę Annę Mandard, która była w styczności ze zmarłym Barischem, odstawiono do szpitala epidemicznego. Stan jej wydaje się normalnym.

Wiedeń 23 października. W szpitalu epidemicznym obsługuje chorych jeden lekarz dr. Poech. Tak on, jakoteż dozorczyni czuwająca przy chorych, wchodzą do ich pokoi z maskami na twarzy. Maski te są zrobione z gazy i waty nacyconej płynami desinfekcyjnymi. W maskach są otwory tylko na oczy, zresztą okryta jest maską cała głowa. Po każdej wizycie maski bywają palone.

Dr. Poech zaszczepił sam sobie *serum* antidżumowe. Müller zapytany, czy pozwoli sobie również zaszczepić owo *serum*, dał odpowiedź przeczącą.

Dr. Poech oświadczył, iż u Pechy zaszła choroba tak daleko, że uważa zastosowanie terapji antidżumowej za spóźnione.

Wiedeń 23 października. Za szpitalem Franciszka Józefa od wczoraj wieczora robotnicy pracują bez wytchnienia przy budowie baraków obserwacyjnych. Zbudowanych będzie ich cztery.

Policja broni do nich przystępu publiczności.

Wiedeń 23 października. Lekarze miejscy otrzymali surowy nakaz, aby nie wydalali się ze swych dzielnic. W razie wyjścia z domu muszą pozostawić kartkę, dokąd się udali, aby każdej chwili można było ich zawezwać. W każdym komisarjacie bezustannie pełnią służbę lekarze.

Wiedeń 23 października. Wydział krajowy dolno-austrjacki domaga się bezzwłocznego zniszczenia kultury bakcylów dżumowych w instytucie bakterjologicznym. Żądanie to napotkało silny opór w kołach lekarskich. Twierdzą oni, że w ten sposób poszedłby na marne cały wynik ekspedycji lekarskiej do Indyj, po której uczeni spodziewają się wynalezienia sposobu zwalczania dżumy.

Wiedeń 23. październia. Policja wyszukała wszystkie te osoby, z któremi miał styczność zmarły Barisch lub jego żona i poddała je ścisłej opiece lekarskiej.

Wiedeń 23 października. Dr. Rudolf Poech, który objął kurację osób izolowanych w szpitalu epidemicznym, brał udział w ekspedycji naukowej do Bombaju i był tam wówczas, gdy dżuma jak najsilniej wystąpiła.

W ciągu wczorajszej nocy stan zdrowia służącego w szpitalu powszechnym Nočzo, który również onegdaj przeniesiony został do szpitala epidemicznego i izolowany, pogorszył się. Osoby, które z nim były w styczności przedtem, zanim go odstawiono do szpitala, poddano ścisłej obserwacji lekarskiej.

Wiedeń 23. października. Wszystkie pisma, nawet *N. fr. Presse* nie mają słów uznania dla kapłana, który nie zważając na niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, spełniając swój obowiązek, pośpieszył do szpitala Franciszka Józefa, aby udzielić ostatnich Sakramentów Pesze i dr. Müllerowi. Kapłan ów chciał wejść do wnętrza cel, w których leżą chorzy, ale władze sanitarne mimo żądania kapłana na to nie zezwoliły.

Depesze telegraficzne i telefoniczne „Dziennika Polskiego“.

Kolonja 23. października. *Koeln. Ztg.* donosi, iż władze saskie zabroniły zgromadzenia w Elsterberg, na którem mieli przemawiać posłowie austrjaccy, szenererowcy: Iro i Hofer. Wyższa instancja zatwierdziła zakaz, powołując się na sojusz Austrji z Niemcami.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, M. Schmitt i A. Milski. Z Drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem Ludwika Ringla.